Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 15. Października 1899.

W pogoni za wygodami i zbytkami.

Przeszło ćwierć wieku upłynęło od pogromu, jakiemu Francya uległa ze strony Niemiec, a właściwie Prus. Kto przed rokiem 1870 znał Prusy, obecnie zaś częściej je odwiedza — pisze p. A. D. w warszawskiem *Słowie* — nie może dosyć nadziwić się szybkiemu i olbrzymiemu rozwojowi obecnej stolicy Niemiec i innych miast większych. Berlin zamienił się z miasta, o charakterze bardzo prowincyonalnym, jakiem był do r. 1866, w stolicę o charakterze wszechświatowym z wszystkiemi wygodami i wielkim komfortem życia z jakiemi tylko w wielkich stolicach świata spotkać się można. Za przykładem Berlina poszły Hamburg, Wrocław i inne miasta.

Z temi zmianami dokonał się oczywiście przedewszystkiem tryb życia mieszkańców, on nawet głównie na te zmiany wpłynął. Z ludzi o wymaganiach niesłychanie skromnych, o nawyknieniach małomieszczańskich, którym w Niemczech nadano miano „Spiessbürgerthum", bardzo szybko po rozszerzeniu się ich ojczyzny a mianowicie po zwycięstwach odniesionych aż w trzech wojnach, kolejno po sobie prowadzonych, Niemcy, a głównie Prusacy, nabrali gustu do coraz większego komfortu, nawet widnokręgi polityków w piwiarniach rozszerzyły się w miarę samiany skromnych piwiarni na zbytkowne przybytki Gambrynusa, w stylu staroniemieckim.

W osobistem obejściu jednakże Prusacy niewiele zyskali, bo wnieśli do nowego życia dawną rubaszność, spotęgowaną w butę przez liczne sukcesy, któremi pochód swój w Europie zaznaczyli. Dziś na każdym kroku z tą butą spotkać się można, a hakatyzm, sięgający daleko po za granice Prus, zaznaczający się mianowicie także wśród Niemców Austryi, jest niewątpliwie jednym z objawów tej buty.

Ale zmiany materyalnych warunków życia w Niemczech, pociągnęły za sobą liczne zmiany moralne, które niekoniecznie wyszły na korzyść zwycięzcom. Znikły dawne skromne wymagania, które nawet bardzo skromnie uposażonemu urzędnikowi pozwoliły czynić oszczędności; oszczędność ta często robiła wrażenie meskineryi, bywała śmieszną, ale miała wiele sympatyczne strony swoje, bo ci ludzie z małemi potrzebami mieli wielkie zalety, odznaczali się mianowicie wielką sumiennością i niezależnością w sądzie, połączoną niemniej z głębokiem poczuciem potrzeb porządku społecznego. Żywioły takie to po prostu materyał wymarzony na dobrych i sumiennych urzędników, na wybornych administratorów państwa i sędziów sprawiedliwych.

Zwiększone wymagania życiowe zmieniły radykalnie ten stan rzeczy. Olbrzymie powodzenie armii niemieckiej wysunęło armię i jej uczestników jeszcze więcej na pierwszy plan, niżeli to miało miejsce dawniej, a liczni oficerowie rezerwy, rekrutujący się ze wszystkich kół tak zw. inteligencyi, zapominali o skromnych stanowiskach, jakie w społeczeństwie zajmują po za służbą wojskową, a swój sposób życia zastosowywali przedewszystkiem do swojej rangi wojskowej.

Wymagania oficera rezerwy bardzo rychło zaczęły wyrastać ponad dochody czy to urzędnika, czy nawet zadłużonego obywatela ziemskiego, rozpoczęła się pogoń za wyższem uposażeniem, a w połączeniu z tem wśród urzędników rozwijało się karyerowiczostwo, któremu niezależność opinii trzeba było złożyć w ofierze, a w zamian za to stosować się do panujących „u góry" prądów, aby awansować w karyerze i większe pozyskać dochody. Od wojny francuskiej po kilkakrotnie znacznie podnoszono płace różnej kategoryi funkcyonaryuszów państwowych, ale tego wszystkiego jest mało.

Proces, toczący się obecnie w Berlinie przeciwko kilku oficerom, karciarzom, wykazuje, jakiemi drogami pragniono zdobywać środki do świetniejszego życia. Jakikolwiek będzie rezultat tego procesu dla oskarżonych, sam fakt, że do procesu wezwano stukilkudziesięciu oficerów armii, młode latorośle najpierwszych rodzin, świadczy, jak wśród tych kół rozpowszechniło się karciarstwo, o którem oficerowie z przed r. 1866 ani myśleli.

Z okazyi procesu dzienniki niemieckie zaznaczają, że po restauracyach Nowego Jorku uwijają się już nie dziesiątki, lecz bodaj setki byłych oficerów pruskich, którzy z powodu długów musieli opuścić służbę wojskową, eksoficerowie kawaleryi piastują u milionerów amerykańskich godność masztalerzy i stangretów.

Świeżo prasa niemiecka zaczęła biadać nad nowem złem, które zwycięscy kampanii r. 1870/71 zaczerpnęli od zwyciężonych, mianowicie nad szerzącem się coraz bardziej w Niemczech systemem ograniczania rodziny do dwojga, najwyżej trojga dzieci. Francyi z powodu tego systemu zagraża stopniowe zaludnienie cudzoziemcami, w braku miejscowych sił roboczych. Niemcy widoki bezustannej nad Francyą przewagi militarnej opierali na fakcie szybkiego zwiększania się ludności niemieckiej. Tymczasem obecnie prasa jednomyślnie stwierdza, że w zwiększaniu się ludności niemieckiej nastąpił pewien zastój, że nie postępuje ona tak szybkim krokiem, ponieważ francuski „system trojga dzieci" przyjął się już nietylko w zamożniejszych, lecz i w mniej zamożnych sferach niemieckich.

Hołdują mu podobno już nawet w warstwach robotniczych, a każdego, kto w ostatnich czasach zwiedzał Niemcy i w księgarniach przeglądał nowości wydawnicze, istotnie musiała uderzyć wielka liczba broszur polemicznych, rozwodzących się nad teoryą Maltusową, broniących jej lub wskazujących najcyniczniej w świecie sposoby przeprowadzenia jej.

— To poczytna obecnie u nas literatura — tak objaśnił nas pewien księgarz w małem miasteczku niemieckiem, na którego półkach literatura ta licznie była reprezentowaną.

Wzmiankowany objaw zatrważa też mocno hakatystów, którzy z przerażeniem zaznaczają, że wśród ludności polskiej wschodnich kresów teorya Maltusowa dotąd mało znalazła wyznawców i że ludność polska prawie w dwójnasób wzrasta w porównaniu z niemiecką.

Pisma niemieckie słusznie obecne stosunki przypisują większemu dążeniu do wygód i zbytków i szybkiemu wzrastaniu potrzeb.

Ze Szwecyi.

Położenie geograficzne odcina niejako Szwecyę i Norwegię od reszty Europy. Zbyt też mało są one znane, acz kolwiek półwysep Skandynawski ze wszech miar zasługuje na bliższą znajomość.

W wiekach średnich Szwecya była jednym z zasobniejszych spichrzów zbożowych, miała dość chleba nawet w latach nieurodzajnych, to też nie znała co widmo głodu. Późniejsze wojny stan ten znacznie pogorszyły: najpracowitsze dłonie odrywano od pługa, by oręż dźwigały; ziemia jałowiała, upadało rolnictwo a z niem i dobrobyt, pracą wieków zdobyty. Szwecya zaopatrywać się już musiała w zboże zagraniczne. Trwało to dwa wieki. Rok 1840 stanowi przełom w życiu ekonomicznem Szwecyi. W roku tym po raz pierwszy po przerwie dwuwiekowej Szwecya powiozła zboże na rynki zagraniczne. Odtąd stale rokrocznie wywozi przeszło milion pudów pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia. I rzecz dziwna: na dalekich krańcach Północy, gdzie warunki klimatyczne są tak nieprzyjazne, że rolnictwo, zda się, istnieć nie może, dzięki niezmordowanej pracy i umiejętności, ziemia obfity plon rodzi. Ten tylko może nabrać dokładnego pojęcia o pracowitości Szwedów, kto się glebie tamtejszej przypatrzył zbliska: mnóstwo kamieni, dochodzących często do objętości wielkich skał, olbrzymie przestrzenie błotnisk i moczarów, które osuszać potrzeba, czynią uprawę jej niezmiernie trudną. Mimo to jednak rolnictwo doszło tu, zwłaszcza w środkowej i południowej Szwecyi, do takiego stopnia rozkwitu, że pozazdrościć go mogą najwzorowiej zagospodarowane państwa rolnicze.

Wielką pomoc ludności tutejszej w dziale podniesienia rolnictwa oddają liczne szkoły rolnicze. Każdy prawie okręg posiada 1 lub 2 takie szkoły, nadto szkoły mleczarskie, instytuty rolnicze, stacye doświadczalne itd. W Sztokholmie jest wyższa szkoła rolnicza z polami doświadczalnemi, nosząca nazwę „akademii rolniczej".

Własność ziemska w Szwecyi jest bardzo drobna. Zaledwie setna część ogólnej liczby posiadaczy ziemskich rozporządza majątkiem powierzchni 100 hektarów (hektar ma 2 morgi), reszta to właściciele gruntów mniejszych, nie przechodzących niejednokrotnie powierzchnią swą 2 hektarów. Rzecz oczywista, iż to jest jedna z przyczyn wielkiej ilości pracy, wkładanej w rolę — karmicielkę.

Ludność Szwecyi wzrasta szybko. Za 100 lat podwoi się. Średnia długość życia jest w Szwecyi najwyższa ze wszystkich krajów europejskich. Podczas gdy u nas np. wynosi ona nieco więcej, niż 30 lat, w Szwecyi dla mężczyzn jest ona 48·5, dla kobiet 51·5. Procent śmiertelności jest tu najmniejszy ze wszystkich krajów europejskich. Mnóstwo też w Szwecyi spotkać można starców i staruszek. Obecność ich rzuca się w oczy każdemu obcemu przybyszowi. Okoliczność to w życiu narodu ważna. Starzec do każdej obrady, do każdego ruchu, do każdej pracy społecznej wnosi doświadczenie, spokój, rozwagę.

Szwecya poszczycić się może jednym jeszcze przymiotem, który ją stawia za wzór państwom cywilizowanym. Oto kraj ten zużywa najmniej napojów spirytusowych. Myliłby się jednak, ktoby myślał, że wstrzemięźliwość ta wrodzona jest Szwedom; przeciwnie, w dawnych czasach pijaństwo było tam bardzo rozpowszechnione, każdy niemal włościanin pędził tu wódkę. Za czasów Gustawa III było w jednej tylko Szwecyi 170.000 gorzelni. Wówczas to już rozpoczęła się walka przeciw temu strasznemu nałogowi. Próba wprowadzenia monopolu wódczanego chybiła celu i dopiero wysoki podatek od wódki wpłynął na zmniejszenie pijaństwa. Największe jednak usługi w walce tej, prowadzonej przez rząd i posiłkowanej przez społeczeństwo oddało podniesienie poziomu umysłowego, przez co masy nabrały uświadomienia o szkodliwości tego nałogu. Wytrwałość i hart charakteru pozwoliły ludności wyjść zwycięsko z tej walki. Dziś też Szwedzi należą do najtrzeźwiejszych mieszkańców lądu stałego, co — rzecz prosta — odbijać się musi na wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Kroniczka naukowa.

(Drzewo miodowe.)

Na Sumatrze rośnie gatunek drzewa zwany drzewem miodowem, z tej przyczyny że pszczoły chętnie składają na niem miód — i to stanowi z drzew tych pewien rodzaj dochodu.

Drzewo to wyrasta bardzo wysoko. Niejednokrotnie gładki jego pień dosięga 30 do 36 metrów i dopiero na tej wysokości poczynają się gałęzie. Łacińska jego nazwa jest rozmaitą, jedni nazwali je *Koom, asii malacensis*, drudzy *Aburia excelsa*. Na Borneo zwą je tapang.

Ptaki składają na drzewie miodowem przy wyroście z pnia gałęzi, nasiona pewnego rodzaju figi. Przyjmują się one i wyrastają w drzewo, którego korzenie schodzą na dół, oplatają pień topangu i zapuszczają się w ziemię.

Jakkolwiek drzewo miodowe należy do tych drzew, które przepisy miejscowe zalecają ochraniać, jednakże wyrastając zbytnio, głuszy inne drzewa i należy je usuwać.

Wielki z tem kłopot — twardość bowiem drzewa jest ogromną i należy wprost podpalać drzewo, a często rozłożone u stóp pnia i podtrzymywane ciągle duże ognisko, zaledwie w parę tygodni przepali pień o tyle, że ów olbrzym z trzaskiem niesłychanym upadnie.

Kora pali się trudno tak, że często wpierw się wytli sama część drzewna, jak zapalone cygaro, a gruba kora wydaje się nietkniętą i nie bieleje.

Liście drzewa są drobne, podobne do liści akacyi ciernistej, kwiat drobny, strączki cieńkie, płaskie na trzy palce długie, mieszczą w sobie jedno ziarno.

Pasorzytne figi, wyrastające na miodowem drzewie rodzą słodki owoc wytwornego smaku, ulubiony przez małpy. Ponieważ korzenie figowe, jak to powiedzieliśmy sięgają aż do ziemi i wrastają w grunt, małpy przeto korzystają z tych naturalnych drabinek, aby się na wysokie drzewo dostać.

Jeden z podróżników, polując na ptaki, gnieżdżące się na drzewie miodowem, zeszedł duże stado małp, wyprawiających sobie ucztę figową.

Zaniepokojone towarzystwo złożyło walną naradę. Drzewo było wysokie i stało samotne niedaleko od gęstych zarośli. Najpierw dowódca małpiej wyprawy spuścił się ostrożnie po korzeniu figowem na dół, ale zabity został strzałem podróżnika.

To zmieniło plan. Małpy wdrapały się wyżej, a największa z nich, idąc po gałęzi najdłuższej, skoczyła na dół z wysokości 27 metrów. Inne poszły za jej przykładem i z niezmierną zręcznością i szybkością znikły w krzakach pobliskich. Jedna tylko przepłaciła to życiem, ale nie wskutek salto mortale, lecz ugodzona nabojem podróżnika.

Dodać należy że przy wynajmowaniu gruntów kolonistom europejskim miejscowi władcy zastrzegają w umowach szanowanie drzew owocowych, gumowych i miodowych. Uszkadzać ich i wycinać nie wolno. Szkoda, że zwyczajów, przyjętych na Borneo i Su-

---

76

JAN-LA-MICHE

przez S. Bobée.

(Ciąg dalszy.)

Odtąd Filoche i Piffonet prawie się nie rozłączali, jednakże Filoche pomimo to śledził, jaki obrót przybierała sprawa z willi Bonivard.

Policya stanowczo obwiniła bandę Frigoletta.

Co się tyczy trupa Mirto, ten rozkładał się spokojnie na dnie Oise'y, a że awanturniczy łotr prowadził zawsze życie dziwaczne, więc nawet najbliżsi jego znajomi nie niepokoili się jego nieobecnością.

Fenomen był zatem spokojny i co raz mniej ostrożny.

Postępowanie Kostolosa było zupełnem przeciwstawieniem.

Mieszkał ciągle w małym pokoiku przy ulicy Lemartine, pod nazwiskiem Giuseppe Zerbini. Udawał świętoszka, chodził do kościoła i odwiedzał często księdza włocha, w którego wmawiał, iż wypędzono go z kraju za opinie polityczne.

Nikt zatem nie przypuszczał, że to jest bandyta, może najstraszniejszy w Europie. Można się domyśleć, że takie zachowanie się Kostolosa, przyczyniło się do utrudnienia poszukiwań Jakóba Brizard, który skierował je niefortunnie na barona de Luckner.

Kostolosowi nie na rękę był nagły wyjazd Jana la-Miche, rachował bowiem na to, że obecność w Paryżu syna Milicy i księcia Jerzego pozwoli mu zawładnąć baronem de Luckner.

Posłał swój adres baronowi i dziwiło go niepomiernie, iż tenże nie odezwał się dotąd, zamierzał więc odwiedzić go, kiedy odebrał anonim wzywający go na schadzkę do miejsca oznaczonego na Polach Elizejskich.

Bilecik był napisany żargonem brukowym, z domieszką słów włoskich i hiszpańskich.

Kostolos nie wątpił, że anonim pochodził od barona de Luckner i stawił się na schadzkę w czasie oznaczonym.

II.

Nie długo Grek czekał.

Mężczyzna w ubraniu robotnika, w kapeluszu filcowym nasuniętym na oczy, zbliżył się do niego.

— Dziękuję, żeś się na czas stawił, kochany Kostolosie — rzekł jak mógł najuprzejmiej.

— Szczęśliwy jestem, iż mnie wasza ekscelencya wezwał — odpowiedział Grek uniżenie, poznawszy od razu barona.

— Przejdźmy się jak dwóch uczciwych ludzi i porozmawiajmy po przyjacielsku. Odłóżmy na bok sprawę w Passy, powrócimy do niej później; w tej chwili pragnę przystąpić do przedmiotu więcej interesującego

— Słucham z całą uwagą pana barona.

— Powiedziałem już, że jestem zrujnowany, wziąłeś to zapewne za sposób pozbycia się ciebie...

— Nie ośmieliłbym się wątpić w słowa waszej ekscelencyi.

— Masz racyę, kochany Kostolosie; jestem zrujnowany kompletnie i możnaby to nazwać bez ratunku, gdybym nie miał sposobu dostarczenia nam obydwom i to prędko bardzo znacznej sumy.

— Pan baron mówi nam obydwom?

— Tak. Możemy w kilka minut zdobyć, jeżeli nie wielki majątek, to przynajmniej tyle, że staniemy na nogach.

— Niech pan baron raczy mnie objaśnić

— Muszę najpierw powiedzieć, że będzie to niezupełnie... legalny sposób i wymagający odwagi.

— Wasza ekscelencya wie, że nie brakuje mi odwagi, a skrupułów nie mam...

— Można oddać ci tę sprawiedliwość. A że odtąd nie powinniśmy mieć dla siebie tajemnic, obznajmię cię w krótkich słowach z interesem. Przed kilku dniami przyciśnięty nagłą potrzebą prosiłem księcia de Preuilly o pożyczenie dwustu tysięcy franków na pół roku. Odmówił wręcz, tłómacząc się brakiem i poradził, żebym się zwrócił do arcymilionera Jakóba Brizard, którego nazwisko musi ci być znane?...

— Rzeczywiście, słyszałem o nim.

— Książę w dodatku na moje przypuszczenie, że tenże nie ma gotówki, zaręczył mi, że Jakób Brizard jest oryginałem, który pod pozorem, ażeby mieć zawsze dużo pieniędzy pod ręką, trzymał w szafach a nawet na wierzchu całe miliony, bez obawy, aby go kto okradł. To jest przesada. W ostatnich czasach miałem sposobność rozmawiania często z Jakóbem Brizard (w którym wreszcie podejrzewam wroga ukrytego), a chociaż jest bardzo inteligentny i sprytny, zanadto jest jednak szczery z natury, aby dotrzymał placu takiemu, jak ja wytrawnemu dyplomacie. Bądź od niego, bądź od jego otoczenia, zręcznie badanego, wiem dokładnie, co trzymać o kapitałach, które ma pod ręką.

Jakób Brizard hojny jest aż do rozrzutności, lecz lubi ład w swoich interesach. Nie pozostawia pieniędzy na wierzchu, ale chcąc mieć gotówkę na zawołanie, ma zawsze w kasie podręcznej półtora miliona franków. Tak dobrze jestem uwiadomiony, iż mogę ci powiedzieć, że suma ta znajduje się w portfelu czerwonym, i liczę na to, że nie później jak jutro przywłaszczę ją sobie z twoją pomocą. Ażeby tę rzecz uprościć i uniknąć dyskusyi, podzielimy łup na równe części.

— Pan baron bardzo łaskaw, że pomyślał o mnie, w tym razie. Teraz prosiłbym, aby zechciał powiedzieć, w jaki sposób myśli wziąć się do tego.

— Bardzo słusznie. Dowiedz się najpierw, że Jakób Brizard wyjeżdża jutro na cały dzień do jednego ze swoich przyjaciół w departamencie Oise'y i jak często robi, uwolnił wszystką służbę z wyjątkiem szwajcara. Przebierzemy się, ja za starego handlarza osobliwości, ty za robotnika... Przyjdziemy do szwajcara z obrazem, który jakoby kupił odemnie pan jego z rana i zawiesić kazał w swoim gabinecie — tam bowiem jest kasa. Postarałem się o bilet Jakóba Brizard i skreśliłem na nim kilka słów, naśladując jego pismo, bardzo łatwe pod tym względem. Pokażemy bilet szwajcarowi, wprowadzi nas do gabinetu, tam zatkamy mu usta i zwiążemy; zdaje się, że we dwóch damy mu radę. Jeżeli będzie konieczna potrzeba, zrobimy tak, żeby nie był szkodliwym, odbijemy kasę i podzielimy się jej zawartością po bratersku. Czy plan mój dobry, nie masz jakiego zarzutu?

— Dwa, panie baronie

— Jakie?

— Najpierw co to za człowiek, ten szwajcar?...

— Człowiek tęgi, odważny, zdaje mi się, dawny wojskowy.

— Skoro się przedsiębierze podobną wyprawę, trzeba robić wszystko na pewno. Jeżeli tylko ten człowiek poweźmie najmniejsze podejrzenie, nie damy mu rady we dwóch. Po drugie, mówi pan o otworzeniu kasy. Czy pan baron potrafi?

— Ja, nie, lecz rachowałem na ciebie.

Za wiele zaszczytu, panie baronie, niestety, nie jestem uniwersalny. Wreszcie wytrychów i narzędzi potrzebnych trudno dostać, a choćbym je posiadał, nie umiem ich użyć. W każdym razie, bądź dla obezwładnienia szwajcara, bądź dla otworzenia kasy, trzeba nam koniecznie pomocnika.

— Do dyabła, to zmniejszy naszą korzyść.

— Niestety! panie baronie, tem bardziej zmniejszy, iż musimy przypuścić go do równego podziału.

(C. d. n.)

matrze nie naśladują inne nawet europejskie kraje, mające pretensyę do cywilizacyi.

Przerwana lekcya.

— Moja Hanulko! Nie mam jeszcze chustki.

— Proszę cię Jerzy, weź sam, wiesz przecie, gdzie są, a ja jestem trochę słaba.

— Dobrze, dobrze, duszyczko, wezmę.

Mówiąc to, pan profesor spieszy do szafki z tajonym respektem, jaki zawsze wzbudza w nim piękna szafeczka jego młodej żony, biała, ze złoceniami, z lustrzanemi drzwiami, pełna białej jak śnieg pachnącej bielizny. Od pół roku, czyli od czasu ożenienia się, nie może biedny profesor nigdy trafić do półeczki, na której znajdują się jego chustki. Ginie prawie w tych obłoczkach z koronek, wstążeczek i bafcików. Jest pewny, że prędzej znalazłby najmniejszy węzeł nerwu mózgowego, aniżeli swoją chustkę między temi skarbami. Wreszcie na najwyższej półeczce spostrzega stos chustek, chwyta jedną i chowa do kieszeni.

— No, mam nareszcie! Teraz już czas na mnie. Do widzenia, złotko moje, a nie choruj mi.

Dwie białe rączki pokazują się z pod koronek, obejmują go za szyję i różowy buziak przytula się do sumiastych wąsów.

Profesor czuje, że coś ciepłego i miękkiego przypływa mu do piersi; wychodzi i na progu jeszcze ogląda się na ten miły, zaciszny pokoik.

Na schodach profesor zapina szczelnie palto, jakby obawiając się, aby surowy podmuch zimowego wiatru nie zmroził uczucia szczęścia w jego piersi.

Wkrótce profesor wchodził do jednej z sal gmachu uniwersyteckiego. Gdy we drzwiach pokazała się wyniosła postać jego, zamilkł wesoły gwar młodych głosów i w sali zapanowała cisza.

Profesor stanął przy owalnym, marmurowym stole przed półkolem ławek, szczelnie zapełnionych przez przyszłych synów Eskulapa.

— Panowie! zaczął — na ostatniej lekcyi mówiliśmy o symptomatach, towarzyszących zajściu — i tak prawił dalej silnym, dźwięcznym głosem.

Oparty o stół demonstracyjny, w ręku trzymał zwój notatek, którym od czasu do czasu uderzał o stół, akcentując ważniejsze miejsca prelekcyi. Jak spokojny, lecz rwący potok, płynęły słowa jego, a ranne zimowe słońce przez wysokie okno oświecało jego męzką figurę.

Po jakimś czasie sięgnął do kieszeni po chustkę chcąc przetrzeć okulary. Zaczyna spokojnie tę zwykłą operacyę, w tem, co to? chustka rozpada mu się w ręku, kilka cząstek spada na stół i na podłogę. Stłumiony śmiech daje się słyszeć na sali. Z ręki profesora spływają jakieś białe sznureczki, a sama chustka tak zmalała, że zaledwie coś w palcach utrzymać może. Co to jest?

Profesor kładzie szybko okulary i rozwijając przed oczami słuchaczów mniemaną chustkę, głośno z podziwem pyta:

— Co to jest?

Gwałtowny śmiech jak burza przelatuje po całej sali, wreszcie rozlega się grzmot oklasków.

— To koszulka dziecięcia! koszulka — odpowiada sto głosów. — Wiwat! niech żyje nasz profesor! Wiwat! Winszujemy, winszujemy!

Koszulka dziecięcia?! Profesor znów czuje, że ogień uderza mu na twarz, zbiera czemprędzej białe szmatki i chowając je do kieszeni, woła:

— Panowie, lekcya skończona! — I prędko wychodzi, przeprowadzony grzmotami oklasków i hałaśliwych powinszowań.

Siadł w dorożkę i kazał prędko jechać do domu.

Czuł, że szczęście tamuje mu dech w piersiach. Przymykając oczy, widział w tym miłym, kochanym pokoju sypialnym małą kołyskę i pyzatą, uśmiechniętą, maleńką twarzyczkę. Jak serdecznie uściska tę drogą żoneczkę swoją i jasną jej główkę ucałuje.

Młodzieńczym krokiem przebiegł profesor schody, wpadł do mieszkania, otworzył drzwi, do pokoju sypialnego prowadzące i stanął jak wryty. Zobaczył w pokoju nieład, na wszystkich sprzętach porozrzucane stosy bielizny, a przy stoliczku płaczącą rzewnie żonę.

— Co ci jest? Co się stało? — pyta przerywanym głosem.

— Ach, Jerzy, jakam ja nieszczęśliwa! To zły znak!

I młoda kobieta znów zalała się łzami.

— Jaki zły znak? Co się stało? Czyś gorzej chora?

— Ach, nie! Ale powiedz mi, przecież tu nikt nie był, oprócz nas — i znów serdeczny płacz przerwał dalsze jej słowa.

— Co mam ci powiedzieć? Kto tu nie był?

— Nikt nie był, siedzę tu sama jedna, a zginęły...

— Co zginęło?

Nagle myśl jakaś, jak błyskawica, oświetla profesorską głowę. Obejmuje żoneczkę, a drugą wyciąga z kieszeni koszulki z pogniecionemi koronkami.

Młoda kobieta spogląda przez łzę na ręce męża; fala krwi pokrywa jej białą twarzyczkę aż po szyję i, przymykając oczy, opiera jasną główkę o pierś ukochanego.

— Widzisz, a nic mi nie mówiłaś, niedobra!

— Przecież jesteś profesorem, doktorem — podnosząc główkę, już z uśmiechem szepcze młoda kobieta.

— A tak, jestem! To też dzisiaj cały fakultet winszował mi, a od oklasków drżały ściany uniwersytetu.

— Matko Boża! A czyż ty *to...?*

— Tak, pokazywałem *to* słuchaczom medycyny — z udaną powagą twierdził profesor, nic sobie nie robiąc z wypadku swego. Od tej pory jednak nigdy już nie brał sam chustki z szafki żony.

Repertoar teatru hr. Skarbka.

W niedzielę popoł. o ½ do 4 tej „Miejsca kobietom“ komedya w a. Valabreque i Hennequin. (Po raz ostatni.)

W niedzielę wieczorem o ½ do 8-mej „Orfeusz w piekle“ opera czarodziejska w 4 akt. J. Offenbacha. (Po raz ostatni.)

W poniedziałek i wtorek (wznowienie) „Bettina“ operetka w 3 a. Audrana.

We środę i piątek po raz pierwszy „Bunt Napierskiego“ oryginalny utwór sceniczny w 3 a. Jana Kasprowicza.

Kalendarz.

W niedzielę 15 października Jadwigi — Dyonisia.

Wsch. słońca 15 paźdz. o godz. 6 m. 25, zach. o g. 5 m. 4.

W poniedziałek 16 października Gawła Ap. — Jerofteja.

Wsch. słońca 16 paźdz. o godz. 6 m. 27 zach. o g. 5 m 2.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki. Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.